

Russell KIRK

ELIOT I KULTURA CHRZEŚCIJAŃSKA*

Eliot usiłował odbudować fundamenty kultury chrześcijańskiej. [...] Jego typ wyobraźni potrafił narzucić porządek wspólnocie i przywracać porządek duszy. Obrazy, które nam ukazał pomagają powściągnąć rozwichrzone szaleństwa naszego czasu.

Thomas Stearns Eliot urodził się prawie dokładnie sto lat temu. Pół wieku temu opublikował *Koncepcję społeczeństwa chrześcijańskiego*, a czterdzieści lat temu – *Uwagi o definicji kultury*. Jeśli dodamy do tego tomiki *Po obcych bogach*, *Mord w katedrze*, *Eseje dawne i nowe*, *Myśli po wizycie w Lambeth*, *Coriolan*, oraz szereg krótszych artykułów napisanych dla swego kwartalnika „The Criterion” – to otrzymamy niezwykle ciekawy zbiór rozważań Eliota na temat związków między nauką chrześcijańską, porządkiem społecznym i kulturą.

Chciałbym zaproponować najpierw zwięzłe omówienie eliotowskiej koncepcji społeczeństwa chrześcijańskiego i religijnych korzeni wszelkiej prawdziwej kultury, a następnie problem ważności przemyśleń Eliota dla niektórych naszych dzisiejszych narzekań. Wielkim poetom udaje się osiągnąć coś, co pozwala odkupić ich czas, choć zwykle dystansują w tym swoje pokolenie: albowiem „zmarli przemawiają językiem płomieni, poza językiem żyjących”. Argumentom Eliota dodały wagi klęski i rozpad porządku i kultury po roku 1939.

Nie chcę przez to powiedzieć, że przekonania Eliota ignorowano za jego życia – nie byłoby to słuszne, przynajmniej w odniesieniu do chrześcijan. Na przykład, w 1940 roku Reinhold Niebuhr, który w czasopiśmie „Radical Religion” ogłosił recenzję *Koncepcji społeczeństwa chrześcijańskiego*, zgadzał się z Eliotem, że współczesna cywilizacja „utraciła swą treść duchową. Nie jest więc w stanie stawić czoła totalitarnym ideologiom, które czczą doczesne cele życia z większą gorliwością niż my czcimy Boga”. Głęboko poruszony przez ten szczupły tomik Eliota Niebuhr pisał dalej: „Nie trzeba chyba dodawać, że książka ta to szlachetna wypowiedź, nie tylko dlatego, że wyraził się w niej podniosły duch chrześcijański, ale i dlatego że [Eliot] potrafił w niej przekazać swe uczucia w stylu prozy poetyckiej, który u mniejszych autorów przyprawia często o rozpacz”.

* Tłumaczenie dokonane z publikacji: „This World”, 1988 s. 5-19.

Ale werdykt inteligencji, przestrzegającej modnych prądów światopoglądowych, ludzi, których przyjacielem Eliota Christopher Dawson, nazwał „świeckimi humanistami”, był niepomysłny dla podstawowych zasad poety zarówno religijnych, jak i społecznych. I tak jest nadal. Na początku bieżącego roku [w 1989 r.] nakręcono telewizyjny film o Eliocie na zlecenie Narodowego Funduszu Nauk Humanistycznych (the National Endowment for the Humanities). Kilku poetów i krytyków wypowiadających się w tym filmie, z wyższością i protekcyjną łaskawością komentowało dziwaczne przywiązanie Eliota do przesądów z dziecięcego okresu ludzkości.

Sir Stephen Spender przytoczył więc opinię Williama Empsona, który utrzymywał, że Eliot miał umysł średniowieczny, wierzył bowiem w piekło i wieczne potępienie. „Wszystkie te rzeczy, w które wierzyli ludzie w Średniowieczu, były dla niego całkiem realne”. Frank Kermode zauważał, że ze swe go unitariańskiego środowiska Eliot wyniósł „postawę kaznodziei”. Z kolei nawrócenie się Eliota na wiarę anglikańską przypisano jego zamiłowaniu do hierarchii i chęci dopasowania się do „kultury angielskiej”. Natomiast w całym filmie ogólny ton wciąż powracającej dyskusji o religijnej poezji i prozie Eliota nacechowany był na wpół neutralną tolerancją wobec tej swoistej aberracji. Całkiem rozsądnie nie tykano takich utworów, jak *Gerontion* i *Wydrążeni ludzie*.

Na marginesie Kermode nadmieniał, że Eliot „wierzył w elity, wierzył w klasy”. No cóż, Eliot z całą pewnością wierzył w klasy, ale nienawidził idei dominacji elit, zauważając, że doktryna owa „przyjmuje atomistyczny pogląd na społeczeństwo”, jak to ma miejsce u Hobbesa, którego Eliot nazywał „aroganckim parweniuszem”. Nasuwa się więc podejrzenie, że niektórzy panowie występujący w tym filmie czytali prozę Eliota nie tylko bardzo dawno temu, ale w dodatku nie bezstronnie. Owi komentatorzy nieżyjącego już Eliota, którzy oświadczają, że miał on jeden z najświetniejszych osiemnastowiecznych umysłów, przypominają mi pewien podręcznik historii powszechnej dla klasy ósmej, który niegdyś recenzowałem. W podręczniku tym znalazły się jedynie dwa nawiązania do chrześcijaństwa i drugie z nich informowało młodzież: „W Średniowieczu istniała religia, zwana chrześcijaństwem, która spowodowała wybudowanie wielu kościołów”. Informacja dla czytelników owego podręcznika sprowadzała się zatem do tego, że wiara chrześcijańska skończyła się dawno temu.

Jeśli pominiemy niewątpliwą miłość do Dantego, Eliot w rzeczywistości nie był człowiekiem Średniowiecza. Spośród pisarzy religijnych najgłębiej wzruszali go tacy autorzy, jak: Św. Augustyn, Dante, Blaise Pascal, Samuel Johnson, John Henry Newman, oraz angielscy poeci religijni z tradycji anglikańskiej.

Eliot znał dobrze stanowisko swych przeciwników wśród ludzi pióra, nawet jeśli czynili oni niewielkie wysiłki, aby pojąć jego postulaty. Był przynajmniej równie dobrze zorientowany w naukach przyrodniczych XIX i XX wie-

ku, jak ci dżentelmeni, którzy teraz z samozadowoleniem osądzają jego intelekt. Między nim a nimi utrwała się przepaść: moralna i społeczna wyobraźnia Eliota potrafiła wykroczyć poza wiek XX, w którym znajdowali się i on i oni, podczas gdy ich wyobraźnia ograniczona była przez to, co Eliot nazwał „prowincjonalizmem czasu”.

Ale nie tylko liberalni czy radykalni inteligenci, doktrynerscy świeccy humaniści, odrzucili serce i umysł Eliota, głosząc jednocześnie podziw dla jego nowatorstwa w poezji. Bowiem zwolennicy fundamentalizmu, a przynajmniej niektórzy z nich, także byli mu przeciwni. Oto pisze do mnie pewien student medycyny z Oklahomy, który po kilku uprzejmych słowach na temat mojej książki o Eliocie, oświadcza: „wydaje mi się, że Eliot powinien stanowić kamień węgielny współczesnego wykształcenia literackiego, szczególnie dla chrześcijan zainteresowanych odzyskaniem i utrzymaniem właściwego poglądu na świat”.

Następnie student ów opisuje, jak odbywało się wprowadzenie do poezji Eliota w pewnym konserwatywnym college’u ewangelickim: „Eliota załatwiano, każąc nam czytać *Pieśń miłosną J. Alfreda Prufrocka* oraz fragmenty *Ziemi jałowej* jako przykłady poszarpanej, chaotycznej i wyalienowanej poezji współczesnej (w przeciwieństwie, powiedzmy, do Milтона i Donne’a). W każdym razie, uważano go za jednego z podejrzanych osobników, jeśli nie wręcz za przywódcę ciemnych typów. Po namyśle, dodawano enigmatyczne stwierdzenie w rodzaju: «Eliot później stał się chrześcijaninem, a jego poezja przestała być tak chaotyczna [...]», itp. Jakoś nigdy nie udało mu się w pełni uratować swego obrazu w ich oczach”.

Od tamtej pory jednak – zaznacza mój korespondent – czyta już Eliota oczami, z których jakby spadły łuski. Nawet w czasach studenckich, „Głębia myśli w *Pieśni miłosnej* urzekła mnie tak, jak żaden inny współczesny poeta [...] O ile mogę to stwierdzić, moi wykładowcy albo nie byli w stanie pojąć Eliota z racji jego anglo-katolickiej odmiany chrześcijaństwa, albo też właśnie dlatego nie chcieli go zaakceptować. Ten pierwszy powód mógł odgrywać pewną rolę, ale z perspektywy czasu dostrzegam, że niemal systematycznie «chroniono» mnie przed całą szeroką sferą nauki katolickiej, uważam więc ten drugi powód za bardziej prawdopodobny. To niefortunne, ale prowincjonalizm utrzymuje się i ma się wcale dobrze w świecie ewangelickim”.

Tego rodzaju świadectwa pokazują, że chrześcijańska wyobraźnia Eliota i jego chrześcijańskie spostrzeżenia społeczne, choć niewątpliwie wpływowe już od ponad półwiecza, nie przeniknęły zbyt głęboko do tych kręgów chrześcijańskich, które Burke nazwał „dysydencją odstępstwa” (the dissidence of dissent). Eliot nie byłby tym zaskoczony. Od czasu do czasu wspominał o ubóstwie wyobraźni i intelektu wąskiego sekciarstwa, którego poczynania aż nazbyt często odstręczały ludzi od Kościoła i jego działania.

Wiara chrześcijańska samego Eliota – rozwijająca się stopniowo od *Prufrocka* poprzez *Gerontion*, *Ziemię jałową*, *Wydrążonych ludzi* i *Popielec*, aż

do *Czterech kwartetów* – nie była w żadnym sensie wąska. Wyrastała z wielu tragicznych przeżyć i długich medytacji. I to nie przez zaślepienie Średniowieczem czy jakiś przebłysk entuzjazmu Eliot ogłosił się anglo-katolikiem. Jak określił to Hoxie Neale Fairchild: „Można powiedzieć, że stał się chrześcijaninem po odkryciu, że już nim BYŁ – to bardzo powszechny rodzaj nawrócenia”. Fairchild dodaje również, że być może najsilniejszym motywem wyznania wiary chrześcijańskiej przez Eliota stała się „jego pełna przerażenia odraza wywołana przez BRAK wiary w te wartości («w zbożne życie i zbożne umieranie, w świętość, czystość, pokorę, prostotę») we współczesnym społeczeństwie”.

Tak więc Eliot, który w późniejszych latach okazał się w kontaktach ze mną najuprzejmiejszym z ludzi, jest atakowany z jednej strony przez zwolenników sekularyzmu, a z drugiej – przez fundamentalistów. A od czasu do czasu otrzymuje jeszcze cios ze strony tych osób pochodzenia żydowskiego, którzy z wyzywającą miną oczekują na rasowe uprzedzenia a priori podejrzwane u innych. Jak kiedyś Eliot powiedział dziennikarzowi z „New York Timesa”: „Ponieważ jestem chrześcijaninem, nie mogę być antysemitą”. Niemniej jednak takie właśnie oskarżenia sporadycznie powracają nawet teraz, i to szczególnie na łamach „New York Timesa”. Ale jak pisał George Orwell w 1948 roku: „Wypowiedź Fyvela (socjalistycznego redaktora i przyjaciela Orwella) o antysemityzmie Eliota to czysty nonsens [...] Niektórzy ludzie ciągle chodzą i wszędzie węszą antysemityzm”. Faktycznie można znaleźć niemiłe aluzje do pewnych Żydów we wczesnych wierszach Eliota, ale spotyka się tam również niesympatyczne aluzje, i to liczniejsze, do pewnych chrześcijan, pogan, kobiet, Irlandczyków i profesorów. W tym właśnie okresie nieco częstsze są szyderstwa z Żydów w korespondencji Eliota – powiedzmy – z Bertrandelem Russellem i innymi przedstawicielami arystokracji literackiej. „W oczach Kościoła”, pisał Eliot do Williama Turnera Levy’ego, „grzechem jest być antysemitą”.

Skłonny jestem sądzić, że niektórzy ludzie pomrukujący o rzekomym antysemityzmie Eliota tak naprawdę nie martwią się „Bleisteinem z cygarem” (z wiersza *Burbank z baedekerem, Bleistein z cygarem* – przyp. L.S.K.) czy wypowiedzianą mimochodem uwagą o „wolnomyślicielskich Żydach” w *Po obcych bogach*, bowiem równie dobrze można by się irytować – posuwając się tylko o krok dalej – Żydem z Malty (ze sztuki Ch. Marlowe’a), Shylokiem (z *Kupca weneckiego* Szekspira), czy Faginem (z powieści *Oliver Twist* Dickensa – przyp. L.S.K.). Tak naprawdę przeciwników Eliota niepokoi nie tyle jego domniemany stosunek do Żydów, ile raczej jego niewątpliwe przywiązanie do kultury chrześcijańskiej. W pewnych kręgach słowo „chrześcijański” może wywoływać zastarzałą, na w pół świadomą obawę przed represjami ze strony chrześcijańskiej większości, może nawet wojującej, populistycznej większości chrześcijańskiej, przyczajonej gdzieś na pustkowiach.

Tak więc celem niniejszego eseju jest rozproszenie niepokoju pojawia-

jących się w wielu różnych kręgach na temat charakteru chrześcijańskiego społeczeństwa, do którego poszukiwania Eliot chciałby nas nakłonić, oraz na temat kilku poziomów kultury opisywanej przez Eliota. Przede wszystkim musimy sobie jednak uświadomić, co Eliot próbował osiągnąć w swej poezji i prozie.

Sam Eliot nigdy nie sformułował aż tak wielkiego celu, ale możemy spróbować go wyrazić cytując wypowiedź o [samym] sobie Eliseo Vivasa (chwilami dość surowego krytyka Eliota). Kierunek i cel mej pracy, pisał Vivas kilka lat temu, „wyznacza dążenie do zwalczania – poprzez krytykę i pracę konstruktywną – dominujących tendencji wśród współczesnych filozofów amerykańskich, którzy są pozytywistami w najszerszym sensie tego słowa: są oni bowiem orędownikami prymatu nauki jako środka prowadzącego do prawdy, negują ontologiczne odniesienie przekonań religijnych, sprowadzają sądy wartościujące do kategorii czysto psychologicznych, nie posiadają zadowalającej teorii osoby i brak im poważnej koncepcji roli, jaką odgrywa sztuka w kulturze”.

Podstawmy pod „amerykańskich filozofów” jakieś szersze określenie przeciwników *Rzeczy Stałych* (*Permanent Things*) Eliota, a słowa te mogą równie dobrze odnosić się do poety. Do takiej deklaracji można tylko dodać to słynne zdanie z *Koncepcji społeczeństwa chrześcijańskiego*: „Jeśli nie chcesz uznać Boga (a jest On Bogiem zazdrosnym), to powinieneś złożyć hołd Hitlerowi czy Stalinowi”. Eliot usiłował przywrócić porządek w duszy i porządek we wspólnocie.

Wielki wpływ na ludzi wykształconych dała Eliotowi jego moralna wyobraźnia, umożliwiając mu – mówiąc jego słowami – „zagładanie zarówno pod piękno, jak i brzydotę, dostrzeganie i nudy, i okropności, i chwały”. I w epoce dominacji zmysłów wyłoniła się nagle poezja Eliota, podniecająca, budząca niepokój i stawiająca moralne wymagania. Czytało ją dorastające pokolenie. Ale najdziwniejszą rzeczą w tej nowej poezji – co odkrywali właśnie ci czytelnicy – było to, że przychodziła, aby utwierdzić autorytet nauki chrześcijańskiej, uznanej za beznadziejnie zestarzałą przez intelektualistów dwudziestego wieku.

Bez szarżowania, ale i bez wykrętów, Eliot przywrócił religijne odczucia poezji i siłę wyobraźni formułom wiary. Wkraczamy w nowe wieki barbarzyństwa, pisał wielokrotnie. Gdyby do tego rzeczywiście doszło, nie jest wykluczone, że Eliot mógłby przetrwać w micie, podobnie jak Wergiliusz po upadku kultury łacińskiej.

Nie zważając jednak na te ponure przewidywania, Eliot usiłował odbudować fundamenty kultury chrześcijańskiej. „Szczałkami tymi podparłem mą ruinę”. Mam w pamięci obraz Eliota w jego późniejszych latach, kiedy spotykaliśmy się w Klubie Garricka lub w Klubie Podróżników, czy też w jakimś prywatnym hotelu w Edynburgu. Jego twarz i zachowanie odzwierciedlały swobodną godność i chrześcijańską rezygnację. Przeszedł tragiczne nieszczęs-

cia osobiste – dużo wcześniej, to prawda; ale, „niczym nie daje odkupić się czas” (*Burnt Norton I*, w. 5, przeł. Czesław Miłosz – przyp. L.S.K.). Już wcześniej opowiadał się za sprawami, które wydawały się stracone; jednak, mimo wszystko, nie ma spraw wygranych. Był człowiekiem o wybitnym poczuciu zdrowego rozsądku, a mimo to, również człowiekiem z wizją. Począwszy od *Sweeney'a o małym karku* (zob. *Sweeney wśród słowików*, przeł. Adam Czerniawski – przyp. L.S.K.), aż po *Światło Niewidzialne* (por. *Opoka IX* – przyp. L.S.K.), obrazy, jakie pozostawił nam w spadku, ożywiają naszą własną wyobraźnię w epoce, gdy wydaje się jak gdyby „ludzie zapomnieli Wszystkich bogów oprócz Lichwy, Żądy i Władzy”. (Por. *Opoka VII* – przyp. L.S.K.).

Zwracamy się więc do Eliota piszącego o cywilnym, społecznym porządku i o religijnych korzeniach naszej kultury, znajdującej się obecnie w stanie dekadencji. „Rasą ludzką rządzi jej wyobraźnia” – napisał mistrz wielkich batalionów, Napoleon Bonaparte. Eliot nie miał w sobie nic z Napoleona, niemniej jednak jego typ wyobraźni potrafił narzucać porządek wspólnocie i przywracać porządek duszy. Obrazy, które nam ukazał, pomagają powściągnąć rozwichrzone szaleństwa naszego czasu.

ELIOT O KOŚCIELE I PAŃSTWIE

Poglądy przedstawione w *Koncepcji społeczeństwa chrześcijańskiego*, a przynajmniej niektóre z nich, nie mogą być dobrze przyjęte przez filary Amerykańskiego Związku Swobód Obywatelskich (the American Civil Liberties Union). Zresztą i większości Amerykanów mogą wydać się nieco dziwaczne, chociaż wyraźnie należą do anglikańskiej tradycji myśli społecznej. Trzonem tej niewielkiej książeczki jest cykl wykładów wygłoszonych w Corpus Christi College w Cambridge, w marcu 1939 roku, zaledwie sześć miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jeśli świat ma przetrwać, oświadczył Eliot, trzeba dokonać wyboru między chrześcijaństwem i pogaństwem; należy wreszcie szczerze spytać, czy Wielka Brytania i w ogóle demokracje zachodnie, rzeczywiście są bardziej chrześcijańskie niż pogańskie mocarstwa totalitarne.

Eliot nie był rzecznikiem społecznej użyteczności religii, to znaczy benthamowskiej koncepcji religii rozumianej jako moralna siła policyjna, strzegąca świętości kontraktów. Przyjął chrześcijaństwo, ponieważ wierzył, że religia chrześcijańska jest przede wszystkim prawdziwa, a nie dlatego, że jest użyteczna. We współczesnym państwie, także w liberalnym państwie demokratycznym, dostrzegał aktualnego lub potencjalnego przeciwnika Kościoła, rywala pretendującego do lojalności obywateli (autor – L. S. K.). *Koncepcja społeczeństwa chrześcijańskiego* utwierdza moralny autorytet Kościoła, który, z konieczności, od czasu do czasu przeciwstawiany jest polityce państwa. Tą niewielką książeczką Eliot toczył walkę z ideologią, to znaczy z religią wy-

naturzoną przez fanatyków, którzy pośpiesznie usiłowali wypełnić próżnię powstałą po zaniku wiary chrześcijańskiej.

Siedemnaście lat temu [1972 – L. S. K.], gdy ukazało się pierwsze wydanie mojej książki *Eliot i jego epoka*, w jednym z rozdziałów przedstawiłem streszczenie poglądów Eliota popierających chrześcijańską organizację społeczeństwa. Redaktorka mojego nowojorskiego wydawcy, inteligentna i powściągliwa kobieta pochodzenia żydowskiego, była kompletnie zaskoczona przekonaniami Eliota, całkowicie odmiennymi od tych, których uczono ją przez całe życie o „rozdzielającym murze” (wall of separation) Jeffersona itp. Jak można głosić – protestowała – takie dziwaczne i niepopularne doktryny?

Aby ją ułagodzić, wstawiłem w nawiasach następujące zdanie: „Chciałbym wyjaśnić, że w niniejszym komentarzu parafrazuję jedynie argumenty Eliota, nie zaś przedkładam nowe, własne teorie.” Niemniej jednak poniżej omawiam kwintesencję mego podsumowania nauki Eliota o stosunkach Kościoła i państwa. Powinniśmy tylko pamiętać o tym, że Eliot pisał w 1939 roku w Anglii, odnosząc się do Kościoła Anglikańskiego. Nie proponował natomiast żadnej koncepcji prawnego ustanowienia Kościoła w Stanach Zjednoczonych.

Spółeczeństwo Neutralne nie może długo przetrwać, pisał Eliot. Z kolei zwolennicy demokracji słusznie czują wstręt do społeczeństwa pogańskiego. Pozostaje więc tylko możliwość odbudowania koncepcji społeczeństwa chrześcijańskiego, które głęboko podupadło w ciągu XX wieku. Wszystko, co jeszcze pozytywne we współczesnym społeczeństwie, jest chrześcijańskie lub wywodzi się z wiary chrześcijańskiej. Ale nieubłaganie wylania się przed nami antykultura negacji.

Liberalizm i demokracja nie mogą utrzymać się bez wsparcia. Liberalizm jest „czymś, co bardziej skłania do wyzwalaania energii niż do jej gromadzenia, do oswobodzania raczej niż obwarowywania [...] Liberalizm może więc otworzyć drogę swej własnej negacji: sztucznej, mechanistycznej czy brutalnej władzy, która ma stanowić rozpaczliwe lekarstwo na własny chaos”. Liberalizm już teraz się rozplywa.

Jeśli zaś chodzi o demokrację, to ten porządek społeczny został bardzo mocno osłabiony przez materializm, demokracja zaś, pozbawiona wiary religijnej, musi być „stanem, w którym będziemy poddani surowej dyscyplinie i podporządkowani, bez żadnego respektu dla potrzeb indywidualnej duszy [...]”. Zbyt często to, co nazywamy demokracją jest albo finansową oligarchią, manipulującą masami ludzkimi, albo też reżimem demagoga. „Termin «demokracja» [...] nie zawiera wystarczającej treści pozytywnej, aby samemu przeciwstawić się szkodliwym siłom – łatwo może zostać przez nie przekształcony”.

Chrześcijaństwo nie wyznacza żadnej specjalnej formy ustrojowej. Jednakże źródłem jakiegokolwiek porządku politycznego jest wiara religijna lub – w przeciwnym razie – wynaturzona religia ideologii. Naczelną funkcją pań-

stwa jest utrzymanie sprawiedliwości, ale sprawiedliwość można zdefiniować jedynie w oparciu o założenia etyczne, które ostatecznie wywodzą się ze wskazań religijnych. Jeśli państwo stanie w opozycji do religijnych dogmatów społeczeństwa lub zajmie postawę obojętną wobec tych nauk, wówczas albo państwo, albo społeczeństwo czeka krótki żywot na tym świecie. Naszej cywilizacji chrześcijaństwo dostarczyło zarówno zasady porządku osobistego, jak i zasady porządku społecznego. Jeśli odrzucamy lub ignorujemy te zasady, naszą jedyną alternatywą jest państwo pogańskie, posłuszne przykazaniom Boga Dzikich (the Savage God). Dlatego musimy pracować na rzecz odbudowy państwa chrześcijańskiego. Nie chodzi przy tym o to, aby koniecznie przekonywać obywateli do unikania niezgodności, konieczne jest jednak uznanie przez państwo porządku moralnego nakreślonego przez Kościół i dostosowanie porządku publicznego – na ile to możliwe w tym niedoskonałym świecie – do tej etycznej orientacji.

Aby powstało państwo chrześcijańskie, musi zaistnieć Wspólnota Chrześcijańska lub społeczeństwo, w którym nauka chrześcijańska wywiera silny wpływ na większość ludzi. Wspólnocie tej kierunek wyznacza „znacznie mniejsza liczba świadomych istot ludzkich”, Wspólnota Chrześcijan. Owi mężczyźni i kobiety, przypominający nieco „klasę klerków” Coleridge’a, choć nie ograniczoną do kręgów duchownych i nauczycieli, stanowią mniejszość, której wiara opiera się na słusznym motywach i którzy – poprzez swój przykład i przywództwo – świadomie i sumiennie kierują masą tych obywateli, którzy akceptują wiarę chrześcijańską jedynie w sposób bierny.

Wspólnota Chrześcijan i sam Kościół muszą uznać społeczne warunki współczesnego świata i w nich działać – ale nie powinny całkowicie pogrążyć się w tym świecie czy też dostosowywać doktryny chrześcijańskiej do szaleństw naszych czasów. Można poprawić strukturę parafii, ale nie można poprawić Kazania na Górze. „Jakkolwiek fanatycznie może zabrzmieć to oświadczenie, chrześcijanina nie może zadowolić nic poniżej chrześcijańskiej organizacji społeczeństwa – co nie jest tym samym, co społeczeństwo składające się wyłącznie z pobożnych chrześcijan. Byłoby to społeczeństwo, w którym przyrodzony cel człowieka – cnota i bycie sobą we wspólnocie – byłby uznany przez wszystkich, cel zaś nadprzyrodzony – zbawienie – przez tych tylko, którzy mają oczy, aby widzieć”.

Naród musi mieć coś więcej niż jakąś filozofię polityczną, twierdzi dalej Eliot, coś więcej niż programy partii. Resztki chrześcijaństwa nadal dostarczają poszarpanych strzępów zasad politycznych zachodnim demokracjom, ale w naszych czasach bardziej liczy się już użyteczność. Teorii politycznej, podobnie jak i moralności, potrzebny jest widzialny i uznawany Kościół, którego jedną z form jest Kościół Anglikański. Jednakże Kościół i państwo nie mogą stanowić jedności – upadek Kościoła rosyjskiego staje przed nami jako straszliwe ostrzeżenie przed błędem erastianizmu. „Dwie są siły, przez które świat jest rządzony”, ośmielił się ogłosić Gelazy już pod koniec V wieku.

Królestwo Chrystusa na ziemi nigdy nie nadejdzie w czasie historycznym, w znaczeniu dosłownym, choć w pewnym sensie zdajemy sobie sprawę z istnienia tego Królestwa w codziennych aktach dobra. „Musimy pamiętać, że bez względu na to, jaką przeprowadzamy reformę czy rewolucję, wynikiem będzie zawsze nędzna parodia tego, czym powinno być ludzkie społeczeństwo – chociaż świat nigdy nie pozostaje całkowicie bez chwały”. Gdybyśmy nawet mieli odzyskać Wspólnotę Chrześcijańską i chrześcijańskie państwo, nie zostalibyśmy jednocześnie oczyszczeni z grzechu pierworodnego i rozpad zacząłby się natychmiast. Ale jeśli ignorujemy już samą koncepcję takiego społeczeństwa, to tylko siła może umożliwić nam życie we wspólnocie. Tak więc państwo totalitarne z konieczności wypełnia próżnię powstałą po zniknięciu Kościoła.

„Skoro filozofia polityczna wyprowadza swe uzasadnienie z etyki”, pisał Eliot, „a etyka – z prawdy religii, to jedynie poprzez powrót do wiecznych źródeł prawdy możemy odzyskać nadzieję na taką organizację społeczną, która nie będzie ignorowała – aż do całkowitego zniszczenia – pewnego zasadniczego aspektu rzeczywistości”. Sformułowania takie zostały uznane za „średniowieczne” przez zadowolonego z siebie, liberalnego zwolennika sekularyzmu w Ameryce z 1939 roku. I nadal wydają się one archaiczne zadowolenemu z siebie, liberalnemu orędownikowi sekularyzmu w Ameryce z 1988 roku, który nie zważa na dewastację społeczeństwa w większej części świata w ciągu ostatniego półwiecza. Przyjąć koncepcję Społeczeństwa Chrześcijańskiego? Konsekwować Państwo Chrześcijańskie? Z pewnością nie musimy się posuwać aż tak daleko! Konsternacja mojej redaktorki wywołana takimi propozycjami powtórzyłaby się jak echo niemal w każdej innej firmie wydawniczej w Ameryce, z wyjątkiem kilku wydawnictw specjalizujących się w publikacjach religijnych.

Przez dziesięć lat od klęski Niemiec i ich sojuszników modernistyczną i sekularystyczną reakcją na rozszerzające się spustoszenie Azji i Afryki oraz ujarzmienie Europy Wschodniej była słodka nadzieja, że Organizacja Narodów Zjednoczonych jakoś załatwi te sprawy. Tak się jednak nie stało. Już w 1933 roku, wygłaszając odczyt na temat *Katolicyzm i ład międzynarodowy*, Eliot przepowiedział, że oczekiwania takie spotka zawód.

„Nie wprowadziły nas w błąd wydarzenia, które – w tym czy innym momencie – miały przynieść jedność świata”, oświadczył wówczas swym słuchaczom, składającym się z socjologów.

„W pewnym okresie dokonać tego miały postęp i oświecenie, a także rozszerzanie się demokracji i instytucji parlamentarnych. Obawiam się jednak, że – jeśli chodzi o Wielką Brytanię i Amerykę – oznaczało to przekonanie, iż jedynym koniecznym warunkiem jest wzorowanie się reszty świata odpowiednio na Wielkiej Brytanii lub Ameryce, albo też narzucenie takiego wzorca siłą”.

Nie, Narody Zjednoczone nie uleczyły wszystkich chorób, jakie są udziałem ciała. Zamiast tego, w obliczu nieskuteczności wysiłków zmierzających do rozwiązywania dysput międzynarodowych, biurokracja ONZ wkrótce zwróciła się w stronę mniej irytujących problemów edukacji, nauki i kultury, gdzie można było sobie pozwalać na wiele szaleństw bez ryzyka odwetu. Stało się więc tak, że dziewięć lat po opublikowaniu *Koncepcji społeczeństwa chrześcijańskiego*, Eliot wydał następną niewielką książeczkę pod tytułem *Uwagi o definicji kultury*. Został do tego sprowokowany nadużywaniem przez UNESCO słowa „kultura” i sposobem stosowania tego terminu przez Clementa Attlee’ego, ówczesnego premiera i ministra szkolnictwa w swym rządzie.

Uwagi o definicji kultury to dość złożona książka, chociaż liczy sobie zaledwie 124 strony. Ogólna postawa Eliota nie jest optymistyczna: „Możemy z pewnym zaufaniem stwierdzić, że nasze czasy to epoka schyłkowa, że normy kultury są dziś niższe niż pięćdziesiąt lat temu, oraz że dowody tego upadku widoczne są w każdej dziedzinie działalności człowieka. Nie widzę powodu, dlaczego ten upadek kultury nie miałby zajść znacznie dalej i czemu nie mielibyśmy spodziewać się okresu – i to stosunkowo długiego – o którym można by powiedzieć, że nie będzie miał żadnej kultury”. Czterdzieści lat po napisaniu tych słów wielu z nas może potwierdzić ów ciągły upadek zapowiadany przez Eliota.

Eliot utrzymuje, że nie może istnieć kultura bez religii. Wystąpił z tym twierdzeniem pod wpływem Christophera Dawsona i – być może – Martina D’Arcy’ego. W pierwszym rozdziale *Uwag* stwierdza: „Możemy pójść dalej i spytać, czy te rzeczy, które nazywamy kulturą i religią narodu, nie stanowią różnych aspektów tego samego: przy czym kultura w zasadzie byłaby – jeśli można tak powiedzieć – wcieleniem religii tego narodu”.

W *Uwagach* Eliot omawia trzy pojęcia kultury, koncepcje klasy i elity, regionalizmu i centralizacji, polityki i edukacji, a także religii, ale ze względu na cel tego eseju podkreślam tu tylko jego obserwacje na temat chrześcijaństwa i jego kulturowego znaczenia. Znalazły one swój wyraz głównie w jego rozdziale o sekcie i kulcie oraz w dodatku zatytułowanym *Jedność kultury europejskiej* gdzie Eliot wyraża poglądy ekumeniczne.

„Chrześcijaństwo powinno być jedno: forma organizacji i siedziba władzy w tej jedności to kwestie, o których nie możemy się tu wypowiadać. Ale w obrębie tej jedności winien trwać nie kończący się konflikt między ideami, bowiem jedynie poprzez walkę z ciągle pojawiającymi się fałszywymi ideami prawda ulega pogłębieniu i wyjaśnieniu, tak jak w konflikcie z herezją rozwija się ortodoksja, by sprostać potrzebom czasu; nie kończący się wysiłek także ze strony każdego regionu, aby ukształtować swe chrześcijaństwo dla własnych potrzeb, wysiłek, który nie powinien być ani całkowicie tłumiony, ani też pozostawiony zupełnie bez kontroli”.

Krótko mówiąc, Eliot jest orędownikiem równocześnie jedności i różnorodności. W kulturze i w religii widzi potrzebę istnienia odmian lokalnych, regionalnych i narodowych, i zachęca do ich pielęgnowania. Ale podkreśla także konieczność zgodności w sprawach wielkich z ogólną władzą religijną i ze wspólną kulturą, nawet swego rodzaju kulturą światową. Źródłem zaś owej wysokiej kultury w Europie, na „Zachodzie”, i coraz bardziej na całym świecie, jest wiara chrześcijańska. A oto kluczowy fragment w *Uwagach o definicji kultury*, zaczerpnięty z wykładu dla niemieckojęzycznych słuchaczy, który Eliot przerobił później na dodatek do swej książki:

„Dominującą siłą w tworzeniu wspólnej kultury między narodami, z których każdy ma swą własną, odrębną kulturę, jest religia [...] To w chrześcijaństwie zakorzenione były – do niedawna – kodeksy prawne Europy. To w kontekście chrześcijaństwa nabiera znaczenia wszelka nasza myśl. Pojedynczy Europejczyk może nie wierzyć, że wiara chrześcijańska jest prawdziwa, a jednak wszystko, co mówi i czyni, wywodzi się z jego dziedzictwa kultury chrześcijańskiej i w swym znaczeniu jest uzależnione od tej kultury. Jedynie kultura chrześcijańska mogła wydać na świat Woltera czy Nietzschego. Nie wierzę, aby kultura Europy mogła przetrwać całkowity zanik wiary chrześcijańskiej. I jestem przekonany o tym nie tylko dlatego, że sam jestem chrześcijaninem, ale i jako badacz biologii społecznej. Jeśli zniknie chrześcijaństwo, zniknie i cała nasza kultura. Wtedy trzeba w bólach zaczynać od początku, nie można bowiem po prostu włożyć na siebie płaszcz jakiejś nowej, gotowej kultury. Trzeba poczekać aż urośnie trawa, by nakarmić nią owce, które z kolei dadzą wełnę na skrojenie tego nowego płaszczu. Nie powinniśmy dożyć chwili nastania tej nowej kultury, ani my, ani też nasze pra-pra-prawnuki. Gdybyśmy jednak dożyli, to żaden z nas nie byłby w niej szczęśliwy.”

Poprzez chrześcijaństwo, pisze dalej, dziedziczymy spuściznę Grecji, Rzymu i Izraela. Nasz dwudziestowieczny świat został już zdewastowany materialnie, przynajmniej jego większa część. Nadal jednak jesteśmy zagrożeni przez ogólną dewastację duchową. Podobnie jak uczynił to Chateaubriand po spustoszeniu Europy w okresie po Rewolucji i panowaniu Napoleona, w tej niewielkiej książeczce Eliot apeluje do Geniusza Chrześcijaństwa: jeśli narody utracą swą wiarę, w godzinie przeznaczenia utracą też swą kulturę i własną egzystencję jako ludzie.

Chociaż zdarzają się tu pewne niejasności i wahania, *Uwagi o definicji kultury* to książka odważna, podtrzymująca na duchu i inspirująca. Wymieniłem wcześniej trzy kategorie ludzi, których Eliot niepokoi: liberalnego zwolennika sekularyzmu, religijnego fundamentalistę, mężczyznę lub kobietę z kultury żydowskiej (którzy jednocześnie mogą być też liberalnymi orędownikami sekularyzmu). Co ta książka ma im do zaoferowania?

Nawet jeśli *Uwagi* nie spowodują nawrócenia ludzi, którzy przez całe życie odrzucali element transcendentálny, to mogą ich jednak przekonać, że zalamanie religii instytucjonalnej może się okazać wysoce nierozważne, nawet

dla ich prywatnego dobra: tylko obłąkani pragną, aby cała nasza kultura stoczyła się po drodze do kraterowego jeziora Avernus pod Neapolem. Podobnie do Davida Hume'a, ostrożny zwolennik sekularyzmu może zastanowić się nad własną sceptyczną bojowością pomrukując: „Czy koncepcje te są aż tak bardzo użyteczne?” – a potem zamknąć je w szufladzie na zawsze.

A co z walczącymi fundamentalistami? Wielu z nich woli podziały od jedności. Lubią przebywać w Jaskini Adullam (Por. 1 Sm 22, 1-2 – przyp. L.S.K.). Jedynie oni znają prawdę, ze szczegółami, i nie zamierzają płaszczyć się przed mieszkańcami Laodycei (Por. Ap 3, 14-16 – przyp. L.S.K.). Czym dla nich są Ateny? A jednak co rozważniejsi z nich mogą dostrzec – wraz z Eliotem – istnienie zagrożenia, w jakim znalazła się dzisiaj wszelka religia objawiona i w podporządkowaniu się Eliota dogmatom mogą odkryć więzy wspólnej wiary i nadziei.

Jeśli zaś chodzi o Żyda, który obawia się o przetrwanie swej kultury, interesów i własnej tożsamości w morzu chrześcijaństwa, przypomnienia wymaga przypis do czwartego rozdziału *Uwag*:

„Od czasów diaspory i rozproszenia Żydów wśród ludów wyznających wiarę chrześcijańską, nieszczęściem zarówno dla tych ludów, jak i dla samych Żydów mogła być konieczność ograniczania kontaktów kulturowych między nimi do tych neutralnych dziedzin, w których religię można było pomijać. Skutkiem mogło być tylko umocnienie złudzenia, że może istnieć kultura bez religii”.

Albowiem kultura żydowska, podobnie jak kultura chrześcijańska, wyrosła z religii objawionej. I gdyby kultura chrześcijańska została w jakiś sposób wykorzeniona, spleciona z nią kultura żydowska nie mogłaby długo przetrwać. Dodajmy przy okazji, że każdy Żyd, który przeczyta czwarty i piąty *Chór z „Opoki”* Eliota, znajdzie przyjaciela.

Tyle jeśli chodzi o przegląd wypowiedzi Eliota na temat kultury chrześcijaństwa. Co mamy dziś uczynić z takimi przekonaniem, przepowiedniami i zaleceniami pochodzącymi od dominującego poety naszego stulecia?

ELIOT I MILLENARYŚCI

Przede wszystkim, aby zrozumieć, co Eliot rozumie przez społeczeństwo chrześcijańskie, państwo i wspólnotę chrześcijan, trzeba podkreślić, że ten filozoficzny poeta – wychowany w rodzinie unitariańskiej, a w swych dojrzałych latach anglo-katolik – nie jest żadnym chiliastą. Kiedy pisze o Królestwie Bożym, o chrześcijańskim państwie i o chrześcijańskim społeczeństwie, nie oczekuje na katastroficzną boską interwencję i na poprzedzające ją lub późniejsze rządy świętych. Wspólnotowe rządy świętych, realizowane za panowania Cromwella, wcale nie były mile widziane przez poetę, który napisał *Little Gidding*. Byłoby prawie absurdem, a już na pewno zbyt wiele, zadawanie sobie trudu i oświadczenie, że Eliot nie żywił wizji millenarystycznych –

gdyby nie to, że w Stanach Zjednoczonych w ostatnich latach różni millenarystyczni kaznodzieje zaczęli się tak bardzo rzucać w oczy, szczególnie w telewizji, że udało im się stworzyć niejasne, ale powszechne wrażenie, jakoby dogmat chrześcijański dokładnie określał tysiącletnie panowanie pokoju, szczęścia i sprawiedliwości przed albo po powtórnym przyjściu Chrystusa, mającego objąć rządy na ziemi. Jak wspomniałem wcześniej, ortodoksyjny Eliot utrzymywał, że Królestwo Chrystusa jest w nas, a nie w systemie politycznym, który można osiągnąć środkami nadprzyrodzonymi lub przez rewolucję społeczną przed czy po millenium.

Premillenaryści wierzą, że nadejście Chrystusa jest już teraz bardzo bliskie i że przyniesie katastroficzne, choć pełne chwały zmiany w sytuacji człowieka. Postmillenaryści, w swej odmianie dwudziestowiecznej, skłaniają się raczej do poglądu, że człowiek musi sam spowodować nadejście millenium poprzez „konstruktywną politykę ulepszania świata”, na modłę proponowaną przez Waltera Rauschenbuscha i ludzi ze społecznej ewangelii (Social Gospel). Eliot odrzucał obie teorie: pierwszą dlatego, że uważał ją za fantastyczne zniekształcenie tekstów Pisma świętego, drugą zaś dlatego, że wiedział, iż człowieka i społeczeństwa nie można udoskonalić jedynie przy pomocy działań ludzkich. I rzeczywiście nigdy nie można człowieka udoskonalić tu na ziemi.

Kiedy więc omawiamy eliotowską koncepcję wspólnoty chrześcijańskiej, chrześcijańskiego państwa i chrześcijańskiej kultury, należy pamiętać, że odnosi się ona do historycznego i nie przekształconego świata, do świata jaki znamy, a nie do jakiejś cudownie udoskonalonej ziemi, do ziemskiej utopii w jakiś sposób zrealizowanej poprzez humanitarne planowanie, pod warstewką chrześcijańskich, nabożnych frazesów.

I podobnie, gdy Eliot pisze o strukturach politycznych, wskazuje na funkcjonujące od dawna brytyjskie i amerykańskie instytucje polityczne, politykę preskryptywną, czy nawet politykę empiryczną. Nie proponuje utworzenia teokracji i wielokrotnie ostrzega przed erastianizmem. Popiera właściwie rozumianą, starożytną zasadę oddzielenia Kościoła i Państwa. Jego państwo chrześcijańskie jest wspólnotą przenikniętą wiarą chrześcijańską i kierującą się nauką chrześcijańską. Nie rządzi nią jednak żaden Sanhedryn kapłanów i prezbiterów.

Eliotowskie rozumienie chrześcijańskiego społeczeństwa i chrześcijańskiej wspólnoty jest zatem zupełnie inne niż doktryny szesnastowiecznych „Genewczyków”, przeciwników Richarda Hookera – Eliot jest właśnie spadkobiercą Hookera.

W rzeczywistości w dzisiejszej Ameryce spotykamy odpowiedników siedemnastowiecznych członków fanatycznej sekty Piątej Monarchii, z ich bojowym okrzykiem: „Drugie nadejście Chrystusa i ścięte głowy na bramy!” Ale tacy zeloci nie składają się na Wspólnotę Chrześcijan, ani też nie opanują republiki amerykańskiej, tak jak nie potrafili opanować Londynu w 1661 roku. Zwolennicy teokracji lub quasi-teokracji przetrwali w małych sektach. Istnie-

ją nawet pewni postmillenaryści starego stylu, którzy potępiają wszelką dominację i władzę, a nawet publikują niezrozumiałe książki, jak na przykład *Christianity and the State* (Chrześcijaństwo a państwo 1986). Zasadniczą różnicą między koncepcją społeczeństwa chrześcijańskiego Eliota, a koncepcjami społeczeństwa chrześcijańskiego takich sekciarzy – jeśli w ogóle potrzebne są dodatkowe wyróżniki – jest to, że Eliot kierował się miłością, której nauczył go Dante, natomiast wyraźnym motywem sekciarzy, takich jak Rushdony, jest nienawiść do tych chrześcijan i żydów, którzy ośmielają się z nimi nie zgadzać.

Wydaje się, że niektórzy orędownicy sekularyzmu znajdują ogromną radość w dostawaniu dreszczy z powodu cieni: utrzymują, że to oni są zagrożeni przez wojowniczość chrześcijaństwa, maszerującego jak na wojnę. Wzdrygają się nawet wobec perspektywy wzrostu liczby szkół chrześcijańskich. W rzeczywistości nie ma jednak najmniejszej szansy na to, aby premillenaryści, postmillenaryści czy którakolwiek organizacja religijnych entuzjastów zdobyła w jakiś sposób kontrolę nad porządkiem publicznym w tym kraju. Aktualna tendencja jest wręcz przeciwna.

Dyscyplina chrześcijańska jest bowiem atakowana nie tylko przez przyjemności epoki zdominowanej przez zmysły, ale też i przez dogmaty lub antydogmaty świeckiego humanizmu głoszone dzisiaj przez środki masowego przekazu (a nawet nie tyle głoszone, ile często uznawane za rzecz oczywistą). Natomiast silna, zorganizowana, świecka propaganda, uprawiana m.in. przez Normana Leara i jemu podobnych, energicznie działa na rzecz zapewnienia nam radości życia w społeczeństwie antychrześcijańskim. Eliot dostrzegł to już w 1934 roku, opisując trudną sytuację chrześcijańskiej moralności na końcowych stronach *Po obcych bogach*:

„Liczba ludzi posiadających jakieś kryteria rozróżniania między dobrem a złem jest bardzo mała. Znaczna jest natomiast liczba na wpół żywych ludzi, spragnionych jakiejś formy duchowego przeżycia lub przynajmniej tego, co się nadarza jako duchowe przeżycie, wzniosłe czy przyziemne, dobre czy złe. Moje własne pokolenie nie uczyniło dla nich zbyt wiele. Nigdy prasy drukarskie nie były tak zapracowane i nigdy nie wychodziła z nich taka różnorodność pustosłowia i fałszywej doktryny. „Biada prorokom głupim, którzy idą za duchem swoim, a nic nie widzą! Jak lisy na puszczy byli prorocy twoi, Izraelu. [...] I stało się słowo Pańskie do mnie mówiąc: «Synu człowieczy, ci mężowie położyli nieczystości swe w sercach swych, a podniecie nieprawości swej postawili przed obliczem swoim. Czyż zapytany mam im odpowiadać?»” (Por. Ez 13, 3-4 i 14, 2-3 – przyp. L.S.K.).

Lekarstwem na taką dekadencją sytuację człowieka, proponowanym przez Eliota w tych niewielkich książeczkach i esejach, w wierszach i dramatach, było po prostu odrodzenie kultury chrześcijańskiej. Musimy zacząć traktować naukę chrześcijańską poważnie albo możemy zginąć – oto istota napomnień Eliota. A jednak jest to zalecenie, które walczącym zwolennikom

sekularyzmu wydaje się – jak twierdzą – groźne i złowieszcze. Niektórzy z nich nazywają to wręcz „klerykalnym faszyzmem”!

Sto lat temu Eliot urodził się w Saint Louis w kulturze chrześcijańskiej – w kulturze może niedoskonałej, ale znośnej. Od tamtej pory kultura ta, podobnie jak i samo miasto, ulegała rozkładowi. Bez względu na postmillenarystów, w ostatnich dziesięcioleciach chrześcijaństwo nie rywalizowało z powodzeniem z fałszywymi prorokami. Mówiąc ogólnie, kościoły uciekały fizycznie na odległe przedmieścia, a duchowo – do Otchłani, kulturą zaś, która zaczyna dominować, jest kultura demona telewizji. W 1939 czy 1948 roku Eliot nie żył złudzeniami, że agresywny Kościół wedrze się w dziedzinę praw władz państwowych lub że z jakiegoś powodu chrześcijanie zaczną prześladować niewierzących. Wysoka kultura ludzi Kościoła zrodziła wielką literaturę, naukę, łagodne obyczaje, rządy prawa, ducha tolerancji, a także – co najważniejsze – kultura chrześcijańska nadała sens życiu i śmierci. Nie istniało zagrożenie, że kultura ta stanie się represyjna – była wyzwalająca. Eliot wiedział, że miecz wiary nie zostanie wydobyty przeciw państwu czy przeciw niewierzącemu, którego Chesterton nazwał „wtórnym barbarzyńcą”. Zagrożenie czaiło się zupełnie gdzie indziej. Eliot opisuje niebezpieczeństwo zagrażające Kościołowi ze strony arbitralnej władzy świeckiej w tym fragmencie *Mordu w katedrze*, który ma być wygłaszanym przez Trzeciego Rycerza usprawiedliwieniem zamordowania Arcybiskupa:

„Gdyby Becket podporządkował się życzeniom Króla, mielibyśmy niemal doskonałe państwo: unię duchownej i świeckiej administracji, pod kontrolą centralnego rządu. Dobrze znałem Becketa, w różnych okolicznościach urzędowych; i śmiało mogę powiedzieć, że nie spotkałem człowieka równie jak on powołanego do sprawowania najwyższych funkcji administracyjnych [...] Lecz skoro słuszne podporządkowanie uroszczeń Kościoła interesom państwa jest już dziś faktem dokonany, pamiętajcie, że pierwszy krok należy do nas. Byliśmy pomocni w ustaleniu takiego porządku, jaki aprobujecie”. (Tłum. Jerzy S. Sito).

Przemówienie to, płynące z ust średniowiecznego rycerza jest typowe dla punktu widzenia biurokratycznej „Klasy Oświeconej” (the Knowledge Class) w odniesieniu do Kościoła pod koniec dwudziestego wieku. Jest to mentalność, która obecnie dominuje w środkach masowego przekazu, w wydawnictwach książkowych, na uniwersytetach i college’ach, jak również w administracji politycznej po obu stronach Atlantyku. Mentalność ta skłania się do odrzucenia kultury chrześcijańskiej – nie uznając, że po zaniku tej kultury sama Klasa Oświecona nie mogłaby przetrwać.

Do kogo więc mogą odwoływać się obrońcy kultury chrześcijańskiej? Do Ludu, który – traktowany zbiorowo – tworzy państwo w swoim pokoleniu? Ale moralność i gusta Ludu w coraz większym stopniu kształtowane są dla niego przez Klasę Oświeconą. Mimo wszelkich dyskusji o Milczących Większościach i Moralnych Większościach, należy wątpić, czy trąba Kościoła zdo-

łałaby w naszych czasach pobudzić Lud do obrony wiary w przypadku jakiegoś cięższego starcia. Nie możemy oczekiwać, aby w naszych czasach przeciętni, żyjący zmysłami mężczyźni i kobiety zaryzykowali wiele dla zasuszonej religii. Wróćmy znowu do *Chórów* Eliota z *Opoki*:

Czemu ludzie mieliby kochać Kościół? Czemu mieliby kochać jego prawa?

On mówi im o Życiu i o Śmierci i o wszystkim, o czym chcą zapomnieć.

Kościół jest łagodny, gdzie oni chcą być surowi, i surowy, gdzie oni chcą być wyrozumiali.

Kościół mówi o Złu, i o Grzechu, i o innych niemiłych faktach.

A oni wciąż próbują uciec

Przed ciemnością na zewnątrz i wewnątrz

W sny o systemach tak doskonałych, że nikt nie będzie potrzebował już być dobrym. (VI)

Praktykujący chrześcijaństwo, a przynajmniej ludzie dobrze życzący chrześcijaństwu, stanowią więcej niż połowę ludności Stanów Zjednoczonych. A jednak orzeczenia Sądu Najwyższego dotyczące praktykowania religii są dziś przeważnie niepomysłne dla Kościołów i zwykle wywołują niewielkie protesty, z wyjątkiem pewnych wyznań fundamentalistycznych. Czy stare napięcie między Kościołem a państwem skończy się faktycznym wchłonięciem Kościoła przez państwo w ciągu dwudziestego pierwszego (i ostatniego!) stulecia ery chrześcijańskiej? Eliot bardzo głęboko zastanawiał się nad tym pytaniem. Także ci, którzy nie są praktykującymi chrześcijanami, powinni pilnie rozważyć to zagrożenie, jeśli bowiem Kościół zaniknie, również kultura ulegnie zużyciu i szybko się rozpadnie.

Kiedy w jakimś rewolucyjnym okresie ludzie przeciwstawiają się naturze rzeczy i wyobrażają sobie, że mogą robić cokolwiek zechcą, Edmund Burke pisał: „zostają naruszone prawa natury, a buntownicy są wyjmowani spod prawa, piętnowani i skazywani na wygnanie z tego świata rozumu, i porządku, i pokoju, i cnoty, i owocnej skruchy, do wrogiego świata szaleństwa, własni, występku, chaosu i daremnego żalu”.

Pod koniec dwudziestego wieku żyjemy w takim właśnie nieprzyjaznym świecie, ty i ja. Czy miecz wiary zda się na coś w krainie Wielkiego Anarchusa? Czy tylko miecz Cezara będzie się liczył w dwudziestym pierwszym wieku?

W większej części świata miecz Cezara zepchnął już wiarę na peryferie, wymiatając kulturę chrześcijańską. Kilka lat temu zwiedzałem dziewiętnastowieczną katedrę na terenie Kartaginy w Tunezji. Dwa tygodnie później państwo tunezyjskie skonfiskowało ten kościół i przekształciło go w muzeum historyczne – niby drobne wydarzenie, ale wystarczająco symbolizujące to, co się wszędzie dzieje z kulturą chrześcijańską, nawet gdy przeciw wierzącym nie stosuje się przemocy. W Ameryce, tak jak i w Wielkiej Brytanii,

Kościół nie jest zagrożony systematycznym prześladowaniem przez państwo; ale w perspektywie zanoszą się na to, że stare funkcje Kościoła, lub przynajmniej wiele z nich, będą stopniowo przejmowane przez publiczne agencje państwowe czy też inne grupy świeckie. Poprzez wciągnięcie lub zmuszenie prawem Kościół może zostać nakłoniony do przystosowania swego postępowania i nawet samego wyznania wiary do jakiegoś rodzaju religii cywilnej – może zostać faktycznie wchłonięty przez materialistyczne społeczeństwo zdominowane przez zmysły. Kościół może nieskutecznie stawiać opór, podając się duchowi epoki etapami, od czasu do czasu zdobywając się na sporadyczne, ciche pojękiwania irytacji czy protestu, głównie popiskując z powodu takiej czy innej polityki zagranicznej czy też jakiegoś posunięcia gospodarczego państwa. W końcu jednak ogarnięty przez kolosalny aparat państwa dobrobytu, będzie mógł przeciwstawić sile państwa amerykańskiego tyle, ile mógł działać rosyjski Kościół Prawosławny wobec dekretów Kremla, albo ile mogą przeciwstawić heterodoksyjnej Izbie Gmin wyrzekający się dogmatów arcybiskupi Canterbury i Yorku.

Polityka Zachodu zwykle stanowiła część kultury chrześcijańskiej – nawet jeśli czasem honorowano ją bardziej poprzez łamanie jej zasad niż ich przestrzeganie. Ważnym aspektem tej mądrości politycznej było starożytne chrześcijańskie rozumienie suwerenności, podzielonej między władzę duchowną i władzę świecką. Jak pisał trzydzieści lat temu John Courtney Murray, „Chrześcijaństwo zawsze uważało państwo za ograniczony porządek działania dla ograniczonych celów, wybieranych i realizowanych pod kierunkiem i kontrolą zorganizowanego moralnego sumienia społeczeństwa, którego sądy kształtuje i mobilizuje Kościół, niezależna i autonomiczna wspólnota, upoważniona do interpretowania natury i przeznaczenia człowieka”. Ale, jak pisał Ojciec Murray w tym samym rozdziale książki *We Hold These Truths*: „Nad całością współczesnej polityki zawisła monistyczna koncepcja suwerenności niepodzielnej: «Jest jedna»”.

Podobne odrzucenie polityki monistycznej było powodem, dla którego w tych niewielkich, polemicznych książeczkach Eliot poświęcił tak wiele miejsca politycznym ostrzeżeniom i argumentom. Polityka jest często zajęciem dla ćwierć-inteligentów, jak pisał George Gissing, niemniej jednak trudno jest przetrwać kulturze chrześcijańskiej – czy jakiegokolwiek kulturze – w destrukcyjnych politycznych strukturach i koncepcjach.

Uświadomiony chrześcijanin zajmuje wrogie stanowisko wobec koncepcji politycznych Hobbesa, Rousseau, Benthama, Austina. Twierdzi, że porządek polityczny pozbawiony elementu porządku duchowego musi rozpaść się w pył. I tak się właśnie zaczęło dziać w naszych czasach. Czy Kościół potrafi zebrać dość energii i wyobraźni, by głosić tak surowe prawdy i w ten sposób zmienić bieg wydarzeń – no cóż, Eliot nie stracił nadziei na takie właśnie ożywienie. Włożył tę naukę w usta Thomasa Becketa:

Ci, którzy pokładają wiarę w ziemskim porządku,
Który nie podlega kontroli porządku Boga,
Zadufani w głupocie, tylko zatrzymują chaos,
Który narasta, lęgną śmiertelną chorobę,
I poniżają to, co wysławiają.

(Tłum. J. S. Sito)

Podjęmowana przez orędowników sekularyzmu i ideologów próba stworzenia kultury oczyszczonej z religijnych sankcji i odczuć w końcu zawiedzie – Eliot wielokrotnie to powtarzał. Zawiedzie w polityce, w sztuce, w edukacji, w ekonomii, w literaturze, nawet w komforcie cielesnym. Tymczasem musimy być bardzo cierpliwi, odkupując czas. „Nie można już znaleźć pociechy w proroczym przygnębieniu”, pisał Eliot w końcowym akapicie *Uwag o definicji kultury*. Być może wymagamy Znak, ale mogłoby się okazać, że to Znak kary. Tymczasem, trzymając się mocno *Rzeczy Stałych* Eliota, możemy stwierdzić wraz z Arthurem Hughem Cloughem – z owym sceptykiem, który ze swej natury powinien być jednym z wierzących – „Nie mów, że walka nic nie daje”.

Tłum. Leszek S. KOLEK